



Właśnie o to chodzi i o nic innego

Ewa Łętowska,
 Janusz Łętowski

Na scenę warszawskiego Teatru Narodowego trafiła właśnie *Semiramida* Rossiniego. Wiadomo było z góry, że sens tego przedsięwzięcia polegał m.in. na tym, że w jednej z głównych ról wystąpi Ewa Podleś i że publiczność zjawi się przede wszystkim po to, by posłuchać jej, a nikogo innego.

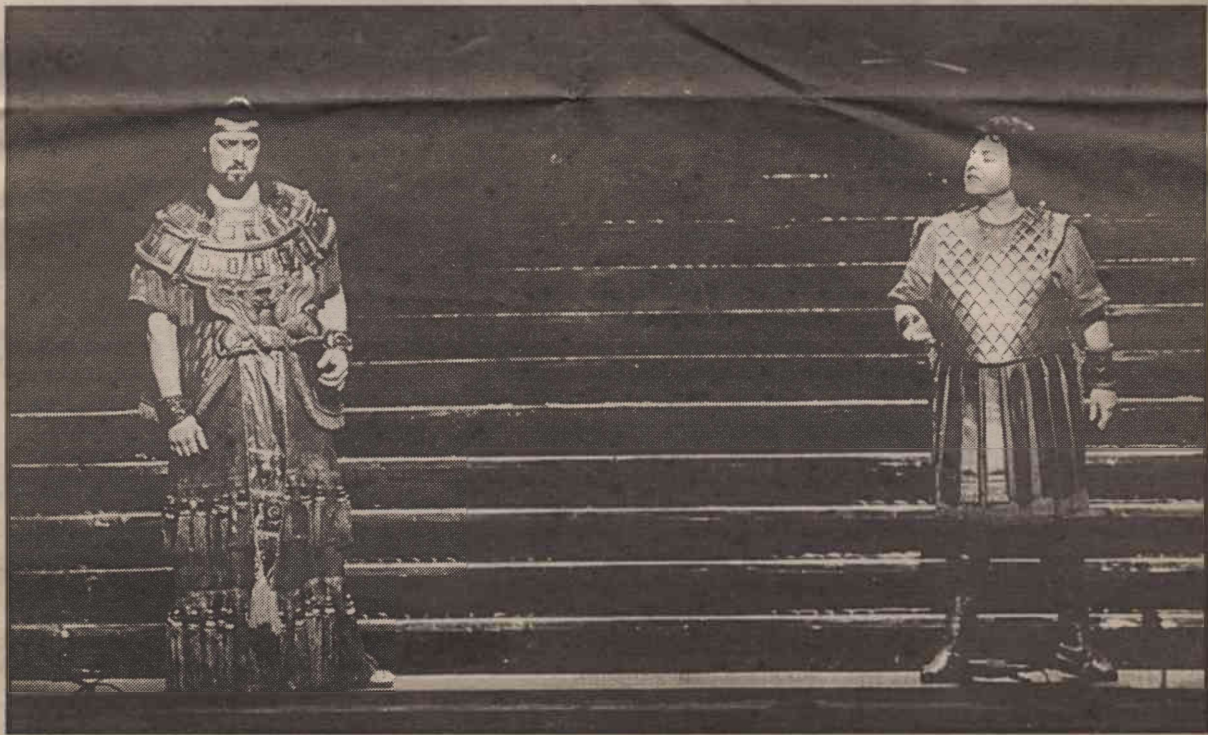
Pani Podleś jest dziś gwiazdą światowej sławy, jej występy i nagrania uzyskują najwyższe oceny (dawno nie napotkaliśmy takiego potoku miodu, jak recenzja z jej nagrania

skoncentrować się na śpiewaniu. Śpiewacy (oszczędne kostiumy i charakterystyka) nie mieli do wykonania żadnych złożonych zadań aktorskich: kilka kroków, parę gestów. Wystarczyło! Dekoracje: kilka potężnych bloków (smoki, posągi itp.) wypożyczonych z przedstawienia *Nabucca* Verdiego na tejsze scenie. Bardzo nam się owo *niedoinscenizowanie* podobało. A już na pewno było lepsze to niż *przeinscenizowanie*, z którym ostatnio mieliśmy do czynienia. Co prawda, skreślenie jednej postaci spowodowało również i to, że tenor musiał adresować miłosne wyznania do powietrza, co zapewne mogło go – w innej sytuacji – nieco niepokoić. A przy tym skreślono mu także dużą i efektowną scenę w pierwszym akcie...

Kierownik muzyczny, p. Grzegorz Nowak, poprowadził rzecz całą w sposób *współczesny*, a więc dość szybko i mocno. W uwertu-

Bylibyśmy jednak niesprawiedliwi, gdybyśmy mieli na tym skończyć. Również i inni soliści dali z siebie wszystko (kto w końcu chciałby być tylko tłem dla gwiazdy?) i rezultaty są godne uznania. Pani Agnieszka Kurowska jest znakomitą śpiewaczką i sama wie, że darzymy ją szczerym szacunkiem i sympatią. Nie będzie mieć przeto pretensji, gdy ciesząc się z jej udanego występu, powtórzymy, że górne dźwięki mogły być pewniejsze i mniej forsowane. Może jednak sala TN jest dla tego rodzaju głosu nieco za wielka i niezbyt przyjazna? Takie rzeczy się zdarzają. Z przyjemnością słuchaliśmy zdyscyplinowanego, profesjonalnego i opanowanego śpiewu pp. Borysiewicza, Miluna i Świdzińskiego (w porządku alfabetycznym).

Ostatni ze śpiewaków miał chyba najtrudniejsze zadanie: partia tenorowa została napisana przez Rossiniego dla lekkiego koloraturowe-



Krzysztof Borysiewicz i Ewa Podleś

Fot. Juliusz Multarzyński

Tankreda, opublikowana w numerze 104. mediolańskiego kwartalnika *Musica*: nagranie dostało pięć gwiazdek, a określenie *grandissima*, jakim m.in. obdarowano śpiewaczkę, jest tylko jednym z łagodniejszych komplementów, kierowanych przez autora pod jej adresem). Ale przecież tak właśnie jest normalnie i słusnie: do opery chodzi się po to, by słuchać śpiewaków, których się kocha. Oczywiście może być na odwrót: nie chodzi się do teatru wówczas, gdy ma występować ktoś, kogo słuchać zgoła nie mamy ochoty. To założenie sprawdza się nie tylko w sztuce, ale i w znacznie szerszej skali. Ale to już inna sprawa.

Semiramidę wystawiono parę lat temu w Poznaniu, również z Ewą Podleś. Byliśmy tam i nawet napisaliśmy recenzję, a zawierała ona właściwie tylko pochwały. Mieliśmy więc pełne prawo oczekiwać, że w Warszawie oczekują nas również same przyjemności. I rzeczywiście! Pierwsze przedstawienie odbyło się 13 lutego i zapowiedziane zostało jako *inscenizowane wykonanie koncertowe*. Pomysł polegał na zminimalizowaniu wszystkich pozamuzycznych elementów. Scena zabudowana dużymi schodami, na których siedział sobie chór trzymając nuty na kolanach. Nikomu to nie przeszkadzało, wręcz przeciwnie. Chór mógł

rze spowodowało to parę kiksów, niektórzy z instrumentalistów mieli problemy z wygraniami wszystkich nut. Ale w rezultacie przedstawienie zyskiwało na energii, a Ewa Podleś miała możliwość zademonstrowania wokalne wirtuozerii rodem wręcz z legendarnych czasów; mało kto dziś na świecie potrafiłby jej dorównać. Miejscami brzmiało to wręcz niczym mecz pomiędzy primadonną i kapelmistrzem (*machaj sobie tak szybko, jak ci się tylko podoba; a ja tak czy i owak wszystko wyśpiewam!*). Rezultat był fascynujący: ozdobniki, staccata, pasażerki fruwały tylko w powietrzu, publiczność słuchała niczym przyamurowana, jak gdyby legendarna Guerrina Fabbri zechciała zstąpić po stu latach na ziemski padół. Wszystko w tym śpiewaniu było świetne: barwa, oddech, technika, muzykalność, energia, temperament, pewność siebie, umiejętność śpiewania z innymi (kto dziś to potrafi!). Tak, to jest śpiewaczka, o której trawstując oceny z Michalina można powiedzieć: *warta osobnej podróży*. Nie wiemy, czy – obecnie – ktokolwiek na świecie jest – w tym repertuarze – jej równy. To był po prostu jej wieczór. Klaniamy się do stóp, prosimy o jeszcze.

go tenora z górami śpiewanymi mocno falsetem (tzw. juleczek), a głos p. Świdzińskiego jest już blisko tenora lirico-spinto, co z powodzeniem demonstrował. Tutaj powierzono mu zgoła inną rolę. Musiał zatem założyć swemu głosowi mocne cugle. Dało to dobre rezultaty.

By rzecz zakończyć w dobrym nastroju: następnego dnia postanowiliśmy obejrzeć przedstawienie *Semiramidy* z nowojorskiej Metropolitan Opera z grudnia 1990 r. (na kasecie wideo). Na scenie były same światowe gwiazdy: June Anderson, Marilyn Horne, Samuel Ramey. I co powiecie? Wykonanie nowojorskie wydało nam się jakieś nudne, oratoryjne, pozbawione temperatury i energii, a i niektóre głosy (nawet bardzo sławne) brzmiały sucho i rzeźmiśniczo.

Powiemy więc głośno to, co mówiliśmy znajomym w kuluarach: taką *Semiramidę* jak warszawska można by z powodzeniem pokazać na każdej światowej scenie i została by z uznaniem przyjęta. Można więc zupełnie śmiało *niedoinscenizowywać*, jeśli się ma na scenie śpiewaków, jak należy. To oni jednak w ostatecznym rachunku zadecydują o tym, czy przedstawienie będzie sukcesem, czy kląpą. Dobrze, że nam o tym przypomniało. ■